Ner 37. Kraków 1 grudnia 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

Dwory i chaty.

IV.

Przypuśćmy, że posiadamy dobre szkoły wiejskie — czyliż to dosyć? Po za szkołą zamknięty już dla ludu wszelki gościniec oświaty, niema on żadnych ułatwień, żadnéj sposobności, aby ziarenka jéj mógł pielęgnować; towarzystwo, w którém żyje jest ciemne — karczma jest tylko miejscem picia i zadłużania się — z książką może się zetknąć jedynie w budach jarmarcznych i odpustowych. — Czyście przeglądały kiedy Sz. Panie, jakie to druki po tych budach sprzedają, jaki to pokarm umysłowy jest tam wystawiony? Oto najpotworniejsze baśnie i kłamstwa, bigos przesądów i czarów, senniki, powieści głupie, obrażające moralność i religją, co najwięcéj, jeżeli się znajdzie jaki kulawy rym przeciwko wódce. A budy te, napchane bibułą zadrukowaną bredniami, są jedyném po za szkołą źródłem oświaty dla ludu. — Więc cóż dziwnego, że zaczerpnięte w szkołach początki nauki, giną potem bez korzyści?

Lud sam nie poradzi sobie, bo ciemny, jakeśmy już poprzednio powiedzieli, nie może sądzić o swietle i kolorach; ale jest to surowym, publicznym obowiązkiem wszystkich starszych po duchu, pomódz mu w tém. Czas już, żebyśmy przestali uważać ułatwianie i rozszerzanie oświaty za jakąś sentymentalną przyjemność, za zabawkę czułych wyobraźni — bo jest to praca, jest to jedno z naszych najpierwszych narodowych przykazań. Zaniedbując to przykazanie, zabijamy deskami przyszłość i własna wina nasza tém jest większą, ile, że praca ta nie wymaga znowu zbytecznych trudów, kosztów, ofiar, ale wystarczy jéj, jak to i w niniejszym artykule okażemy — odrobina dobréj woli.

Czémże się dzieje, że po miastach oświata się krzewi i nie przepada nawet pomiędzy ludnością, która z pracy rąk żyje? Oto, bo oprócz szkół jest mnóstwo sposobności i ułatwień, jako to: biblioteki, księgarnie, dzienniki, resursa, kasyna, restauracje; kawiarnie i szynki z gazetami, szkoły niedzielne, odczyty publiczne, teatr. Są to wszystko koryta, któremi płynie światło i towarzyska oglada. Czémże te ułatwienia są zastąpione po wsiach? jak dotąd niczém! Ale to tylko u nas tak, gdzieindziéj służą ku temu biblioteki ludowe, czytelnie i karczmy.

Czytanie książek i nabywanie ich potrzeba koniecznie ludowi ułatwić; on za oświatą nie pójdzie, trzeba mu ją na wieś przynieść.

Maleńka składka zaprowadzona przez was młode panie, pomiędzy rodziną i domownikami w jednym dworze, choćby 5ciu guldenów, będzie wystarczającą na początek. Czyście wy pomyślały kiedy, że za taką sumkę można nabyć stos pożytecznych książeczek, które na dość długi czas dla całéj gromady do czytania wystarczą? Znajomi, albo Redakcje któregokolwiek dziennika, albo wprost księgarnia nadeszle wam tych książek, a odebrawszy je, rozpoczynacie dzieło: zakładacie bibliotekę ludową, wypożyczalnię książek, bądź to we dworze, bądź oddajecie ją pod zarząd nauczyciela lub organisty, bądź téż, co byłoby najlepiéj, robicie bibliotekarzem jednego z młodszych, a światlejszych gospodarzy i oddajecie biblioteczkę pod opiekę i nadzór zwierzchności gminnéj. Zrazu będzie to rzecz dziwna, bo nowa, ale z czasem poczną książki obiegać, czytający poczną sobie i drugim udzielać wiadomości i spostrzeżeń, starsi, a nie nauczni, każą dzieciom, żeby im czytały; słowem, czytanie stanie się przyjemnością, potrzebą, nałogiem.

Ale wasz obowiązek nie skończył się na tém, bo biblioteczkę trzeba zasilać. Więc przy sposobności powtórzyć kwestę, więc sprawić skarbonkę i wydać ustawę, obowiązującą wszystkich gości dworskich, że do skarbonki téj musi być oddawany pewien procent z każdéj wygranéj w karty, więc i tysiące innych, wcale nie uciążliwych sposobów wasz dowcip i serduszko wymyśli. A jeżeli biblioteczka się przyjmie, toż da się zaprowadzić i maleńką opłatę od pożyczania, 1 centa od książki np.: a i z tego fundusik rosnąć będzie. A w końcu może téż same gminy i rady powiatowe swéj opieki i trochę grosza nie od-

mówią, żeby dzieło wasze rozszerzyć — może też i małe księgarnie po wsiach będą się mogły utrzymać.

Staraniem zaś Wydawnictw książek ludowych być powinno, aby treścią zainteresować lud i zachęcać do czytania. Pod tym względem należy się kierować doświadczeniem, jakie sami na sobie robimy. Wszak sami lubimy czytać powieści malujące dzieje serca i stosunki, wśród których żyjemy, historją zajmująco opowiedzianą, opisy ciekawe i pożyteczne; nudzą nas zaś rozwlekle morały. A tymczasem ten ton moralizujący, kazaniowy — jest przeważnie we wszystkich powiastkach dla ludu, albo znowu są te powieści ckliwe i dziecinne. Taki sposób traktowania rzeczy chybia celu. Powieści ludowe winny być pisane tak samo, jak powieści nie dla ludu, byle się obracały więcéj w sferze pojęć jemu dostępnych i w stosunkach życia wiejskiego. Chybia również celu zapychanie zbyteczne bibliotek dla ludu książeczkami religijnemi, żywotami świętych itd. — to już rzecz kościoła i księdza. Natomiast potrzeba, żeby książki dla ludu zajmowały się **na serjo** sprawami, które go obchodzą, rodziną i gospodarstwem, gminą i krajem, historją, prawami i przemysłem stósownym, wszystkiemi umiejętnościami, które winny mu być podane w przystępnéj formie. Bo nie zapominajmy, że lud wiejski myśli i czuje tak jak i my, i że poradników więcéj mu potrzeba, jak nam, że książka winna rozszerzać jego pojęcia tak gospodarcze jak i polityczne. Takie książki znajdą z pewnością przyjęcie u ludu, bo komu życie ciężko idzie, nie jest usposobiony do lekkich gawęd, ale pragnie pożywnego pokarmu.

Obok bibliotek wspomnieliśmy **karczmy**. Karczma jest tém samém na wsi, czém kasyna i resursa w mieście: miejscem publiczném, miejscem towarzyskiéj schadzki, gdzie każdy jest u siebie. Ale po wszystkich miejscach publicznych w mieście znajdują się gazety— czyliż nie powinno to być zaprowadzone i po wsiach? **czyż nie można zawarować w umowach dzierżawnych, że karczmarz jest obowiązany trzymać dla gości bodaj jednę gazetkę.** Kiedy lud zbiera się w karczmie, wtedy ma wolny czas i wtedy najchętniéj posłucha, jeżeli ktoś głośno czytać będzie — a od czytania gazet przyjdzie i do wspólnego czytania książek, których biblioteczki dostarczą.

Są to rzeczy na pozór drobne, ale bo też nie od razu Kraków zbudowany. Rozważmy jednak, że przez takie starania będzie oświata tysiącznemi ponikami wsiąkać w umysły, i ogladzać towarzyskie stosunki ludu, że następstwem tego musi być odrodzenie społeczne; tak więc niepozorną, mrówczą zabiegliwością, możemy torować ścieżki przyszłości.

Do śpiącego niemowlęcia.

Mój aniołku snem ujęty
Co się w twojéj główce marzy?
Raz wesołyś, uśmiechnięty,
To znów chmurka mknie po twarzy.

Czy przeczuwasz ma dziecino
Kto twój rodzic, kto rodzica —
Jaka ziemia ich krainą?
Smutna świata okolica!
Jak skąpana w łzach źrenica —
Krwi potoki po niéj płyną —
Pogwałcone świątyń progi,
Wszędzie mordy i pożogi.

Śpij aniołku, śpij malutki! —
Życie długie, sen twój krótki.
Z niewinnego twego czoła,
Z nieskalanych jeszcze powiek
Promienieje wdzięk anioła;
Ty dwóch światów jesteś progiem,
Wpół-niebianin, a wpół-człowiek
Nieświadomy łez doliny:
Jeszcze pomnisz jak przed Bogiem,
Z twymi braćmi Cherubiny,
Kołowałeś gdzieś w przestrzeni
Śród harmonii i promieni —
Niby biały z róż obłoczek,
Nieuchwytny, a bez troski....
I tak lecąc pod tron boski
Niewiedziałeś, że ci z oczek
Zniknie kiedyś sen niebieski,
Raj zamąci ziemi smutek,
Że po buzi spłyną łezki
Z twoich ocząt — niezabutek.

Śnij aniołku, śnij dziecino!
A w twych rajskich snach o niebie,
Całe niebo przelej w siebie;
Niechaj w duszę twoją spłyną
Nieziemskiego świata wdzięki,
I promienny blask tęczowy,
I anielskich hymnów dźwięki,
Które biją w tron Jehowy
Nieskończonych wieków chwałą.
Unieś z sobą lilję białą,
I szatanom na przekorę,
U Baranka weź pokorę,
I gałązkę weź oliwną.

Miną zorze, słońce zgaśnie....
Lecz te skarby mocą dziwną,

Choć w ciemności świat zapłynie,
W sercu twojém zrobią jaśnię —
I zbudują prawd świątynię,
Kędy u stóp jéj ołtarzy
W gronie jasnych towarzyszy
Stanie anioł twój na straży.
W tym przybytku, zatopiony
We własnego serca ciszy,
Znajdziesz raj twój utracony;
Pieśnią świętą i uroczą,
Jak balsamem cię otoczą
Archaniołów bożych głosy:
I upadniesz na kolana,
I roztworzą się niebiosy,
I oblicze ujrzysz Pana.
I wymodlisz cnoty twemi
Dla tułaczów inne życie;
Choć piędź jednę wolnéj ziemi,
Lub garść piasku na przykrycie.

Drezno 1867 r. *S. T. D.*

Barbox Bracia.

(Charles Dickens.)

(Dokończenie).

Była bardzo zadowoloną z obiadu. Ciekawy to był widok jak Barbox pod jéj nadzorem krajał jéj mięso i i jak pod jéj dyrekcją szczodrą ręką rozlewał sos po talerzu.

— A teraz, rzekła Polcia podczas obiadu, bądź tak grzecznym opowiedzieć mi tę bajkę, któréj cię nauczyłam.

Zatrwożony jak przed komisją egzaminacyjną, i wcale niepewny co do epoki, w któréj zjawia się ów pasztet, i co do jego rozmiarów, Barbox Bracia rozpoczął opowiadanie swoje; lecz ośmielony, coraz odważniéj postępował daléj. Nie umiał on należycie rozwodzić się nad policzkami i łakomstwem chłopca, jednakowoż opowiadanie to jako pierwszy występ rozochoconego olbrzyma było dość dobre.

— Jesteś pilnym i grzecznym — mówiła Polcia z zadowoleniem, siedząc przy prawym boku jego na stołku dla jéj użytku wysłanym poduszkami. Tak wzruszoną była licznemi względami jakie jéj wyświadczał, że pogłaskała go po twarzy stłuszczoną łyżką swoją i nawet czule go chciała pocałować. Chcąc stanąć na stołku w celu udzielenia mu téj szlachetnéj nagrody, straciła równowagę i upadła na twarz pomiędzy półmiski. Uwolnił ją z tego położenia i wykrzynął z przerażeniem:

— Dla Boga Polciu, myślałem, że ci się co stało!

— Cóż za tchórz z ciebie, zawołała Polcia usiadłszy na miejscu.

— Jestem niespokojny o ciebie. Proszę cię Polciu nie wywijaj łyżką, bo upadniesz na bok. Polciu nie trzep nóżkami, bo w tył upadniesz. Polciu! Polciu! Polciu! wołał Barbox Bracia prawie w rozpaczy, jesteśmy otoczeni niebezpieczeństwem.

Nie wiedział jak zabezpieczyć Polcię przed otchłanią zewsząd jéj grożącą, zaproponował jéj więc, by usiadła na nizkim stołeczku.

— Jeżeli ty usiędziesz, to i ja usiędę, rzekła Polcia.

Dla miléj zgody kazał służącemu stół odsunąć, przynieś karty i dwa podnóżki, i usiadł na nich wraz z Polcią blisko pieca.

I znowu widok Barboxa był nader zajmującym, kiedy tak siedział na podnóżku, przypatrując się Polci budującéj domy z kart, cały posiniały na twarzy, silił się bowiem zatrzymywać oddech, by dzieła jéj nie zdmuchnąć. Zapatrzył się na dziewczynkę i na jéj robotę.

— Jak ty się patrzysz na mnie — rzekła Polcia.

Złapany na gorącym uczynku, starał się wytłumaczyć z tego, mówiąc: zdaje mi się rzeczywiście, żem ci się zbyt ściśle przypatrywał.

— Dla czegóż się tak patrzysz? — pytała Polcia.

— Nie wiem dla czego Polciu.

— To ty musisz być dziwakiem, kiedy nie wiesz dla czego co robisz — mówiła Polcia.

Pomimo téj admonicyi pilnie znowu przypatrywał się dziecku, gdy nad robotą schylała główkę, z któréj bujne loki spadały zasłaniając twarz.

— Nie podobna, pomyślał, żebym ja téj twarzy dotąd był nie widział. Możem ją widział kiedy we snach moich, w owych snach ciężkich, pełnych trosków. Nie mogąc sobie jednak nic bliższego przypomnieć, pracował pilnie jako pomocnik pod dowództwem Polci i budowali po trzy, cztery a nawet i pięć piąter.

— Cóż ty myślisz? kto nadchodzi? — pytała Polcia wypiwszy herbatę.

— Służący? — zgadywał Barbox Bracia.

— Nie — mówiła Polcia — sen. Jestem śpiąca.

Nowy kłopot dla Barboxa.

— Ja myślę, że już po mnie nie przyjdą téj nocy. Jakże ci się zdaje? — pytała Polcia.

I on tak samo sądził, a kiedy sen rzeczywiście począł się zjawiać, zawołał pokojówkę, która chętnie na to przystała, żeby dziecko spać poszło do wygodnego i zdrowego pokoju pod jéj dozorem.

— A panna zapewne dbać o nią będziesz — rzekł Barbox Bracia nanowo trwogą zdjęty, ażeby z łóżka nie wypadła.

To przypuszczenie tak śmieszném się Polci wydadawało, że szyję jego objęła obydwiema rączkami, kiedy siedział na podnóżku zbierając karty, i kołysząc go tam i nazad, opierała na jego ramieniu swój podbródek przyozdobiony dołeczkiem.

— O jaki tchórz z ciebie — zawołała Polcia — czy ty wypadasz z łóżka?

— Zazwyczaj tego nie czynię Polciu.

— A ja również nie.

Polcia z zaufaniem podała swoją miniaturową rączkę pokojówce i odeszła szczebiocąc i nie okazując śladu trwogi lub niepokoju.

Spojrzał za nią gdy wychodziła, ustawił stół i stołki w porządku i jeszcze za nią patrzał. Przez pół godziny przechadzał się po pokoju.

— Zajmująca mała istotka, ujmujący ma gł sik. To wszystko tłumaczy się wprawdzie tém, żem się nią zainteresował, ale to nie wystarcza, by usprawiedliwić tak silne zajęcie się nią i wzruszenie, jakiém jestem przejęty. Zkądże pochodzi, że mi się to dziecko tak znajomém zdaje? Cóż ono mi właściwie przypominało, kiedym ją spostrzegł na ulicy, kiedy spojrzała na mnie jakem się ku niéj schylał?

— Panie Jackson!

Barbox zadrzał i obrócił się w tę stronę, zkąd zabrzmiał ów głos przytłumiony; zobaczył odpowiedź na ostatnie swoje zapytania stojącą w progu.

— O panie Jackson nie bądź zbyt surowym dla mnie. Błagam cię, przemów do mnie i wyrzeknij słowo przebaczenia!

— Pani jesteś matką Polci?

— Tak jest.

Podobną była do Polci. I Polcia mogłaby kiedyś tak wyglądać jak ona. Jeżeli ze zwiędłych listków róży poznasz jaką była w kwiecie, jeżeli z zimowych ogołoconych gałęzi drzewa potrafisz rozróżnić, jak wyglądało w całéj okazałości, jaką go przyozdobiło lato, to zgadniesz również, jakby Polcia wyglądać mogła zmieniona w kobietę przygniecioną nieszczęściem, osiwiałą przed czasem. Widział przed sobą zgasłe popioły płomienia, których ongi tak wesoło jaśniał. To była kobieta, którą niegdyś kochał, to była kobieta, którą był postradał, a taką była stałość jego przywiązania, tak obraz jéj niczém nie zaćmiony przez tak mnogie lata spoczywał w jego sercu, że na widok jak srogo nieubłagany wpływ czasu i nieszczęścia ją dotknął, spoglądał na nią w osłupieniu z duszą litością przejętą.

Podał jéj krzesło ażeby spoczęła, i stanął przy piecu z twarzą wpół odwróconą głowę kryjąc w rękach.

— Może widziałaś mnie w ulicy i pokazałaś owemu dziecku?

— Tak jest.

— Ta mała więc była spólniczką podstępu?

— Nie było w tém podstępu. Powiedziałam jéj, zgubiłyśmy drogę, ja swojéj sama muszę poszukać, a ty idź do tego pana i powiedz, żeś się zbłąkała i że przyjdą późniéj po ciebie.

— Dla czegóż pani tak postąpiłaś? — zapytał po krótkiém milczeniu.

— O panie Jackson, pragnęłam, by widok mego dziecka złagodził serce twoje dla mnie i — dla mego męża.

Odwrócił się nagle i poszedł w drugą stronę pokoju; wróciwszy ztamtąd wolnym krokiem, zajął poprzednie stanowisko i powiedział:

— Sądziłem, żeście wyjechali do Ameryki.

— Byliśmy tam, ale nam się źle powiodło i powróciliśmy ztamtąd.

— Czy w tém mieście żyjecie?

— Tak jest. Udzielam lekcyj muzyki, a mój mąż jest w obowiązku w domu handlowym.

— Wybacz pani moje zapytanie, czy jesteście biedni?

— Zarabiamy tyle, ile nam trzeba do życia, to nam najmniéj dolega. Mój mąż jest bardzo — bardzo chory, jest to słabość przeciągła, nigdy z niéj nie wyzdrowieje....

— Pani przerywasz rozmowę. Czy dla braku zachęcenia z mojéj strony? bądź przekonaną o mojém współczuciu — bo ja dawnych czasów zapomnieć nie mogę Beatryce!

— Niech ci Bóg pobłogosławi! odpowiedziała ze łkaniem, podając mu drzącą rękę.

— Uspokój się, bo inaczéj i ja nie mogę być spokojnym. Łzy twoje zasmucają mnie nad wszelki wyraz. Mów otwarcie i miéj ufność we mnie.

Zakryła twarz welonem i po chwili mówiła spokojniéj, głos jéj miał ten sam dźwięk, co głos Polci.

— Zapewniam pana, że smutny stan zdrowia mego męża nie wywarł szkodliwego wpływu na jego umysł, ale słabość jego i wiadomość, że jest nieuleczenie chorym, nasuwa mu ciągle jedną myśl, któréj pokonać nie może, która go przygnębia, goryczą zatruwa każdą chwilę jego nędznego życia, i skróci je niezawodnie.

Znowu przerwała rozmowę, a on znowu rzekł do niéj: mów śmiało, zaufaj mi!

— Mieliśmy pięcioro dzieci przed tą małą, a wszystkie w grobie spoczywają. On sobie wmawia, że one wszystkie zwiędły pod przekleństwem, i że to dziecko również marnie zginie, jak i tamte.

— Cóż za przekleństwo nad niemi spoczywało?

— Mamy oboje na sumieniu, żeśmy cię tak ciężko skrzywdzili, i wiem, że gdybym była tak chorą jak on, myśl ta by mnie również prześladowała. To jest ciężar, który go przygniata.

— Ja Beatrice (zwykł on do mnie mawiać), byłem jedynym przyjacielem, o którego Jackson dbał, choć byłem tyle młodszym od niego. Im więcéj nabywał wpływu w interesie, tém bardziéj na mą korzyść go obracał, i mnie jedynie obdarzał swém zaufaniem. Nareszcie zapoznał mnie z tobą, a ja odstręczyłem cię od niego; zachowaliśmy tajemnicę, tak, że wcale nieprzygotowany tę ranę odebrał. Boleść jego musiała być tém okropniejszą, że to był człowiek stroniący **od świata**, jego gniew musiał być rozbudzonym i nieprze-

błagalnym, i ztąd przyszło zapewne, że przekleństwo ciąży nad naszemi drobnemi, ładnemi kwiatkami, i że one więdną jedno po drugiém i opadają.

— A ty Beatrice, cóż na to powiadasz? zapytał po dłuższém milczeniu, gdy przestala mówić.

— I ja również obawiałałm się, że nam nigdy nie przebaczysz. Od kilku tygodni jednak powzięłam nadzieję.

— Od kilku tygodni — powtórzył — od kilku tygodni powzięlaś nadzieję?

— Tak jest.

— Z jakiego powodu?

— Przed kilku tygodniami poszłam do sklepu, żeby kupić nuty, kiedy z przerażeniem spostrzegłam, że i pan tam wchodzisz. Zasłoniłam więc twarz, ukryłam się w ciemnym kącie sklepu i słyszałam, żeś pan żądał instrumentu muzykalnego dla użytku dziewczyny kaleki. Głos pański brzmiał tak łagodnie, tak się interesowałeś wyborem podarku, zabrałeś go ze sobą z takim wyrazem uciechy i czułości, że poznałam cię jako człowieka ze szlachetném sercem. O panie Jackson, panie Jackson, gdybyś mógł był uczuć, jaką pociechą były dla mnie te łzy, które wówczas wylewałam.

Czy tam Febe grała w téj chwili na swém łożu samotném? Barboxowi zdawało się, że ją słyszy.

— Pytałam się w sklepie gdzie pan mieszkasz, lecz nie mogłam się nic bliższego dowiedzieć. Słyszałam, żeś pan mówił, że najbliższym pociągiem powrócisz, lecz nie mówiłeś dokąd; postanowiłam chodzić na kolej tak często, jak mi lekcje pozwolą, w nadziei, że tam pana może spotkam. Bywałam tam bardzo często, lecz nigdy pana nie spostrzegłam aż do dzisiejszego dnia. Byłeś zamyślony chodząc po ulicach, ale wyraz twarzy ośmielił mnie, żem posłała dziecko moje za tobą. A kiedy widziałam jak schylałaś czoło, by czule do niéj przemówić, prosiłam Boga, żeby mi wybaczył, żem to czoło kiedyś troską oblekła i żalem. Błagam cię, wybacz mi i mężowi memu; byliśmy obydwoje bardzo młodzi, a w płochości młodego wieku nie wiedzieliśmy co czynimy, jak gorżko urażamy tych, co więcéj od nas w życiu przetrwali. O jakże jesteś dobrym i wspaniałomyślnym, że mnie podnosisz i wybaczasz grzech popełniony względem ciebie. Dzięki tobie, dzięki i błogosławieństwo.

Nie mógł jéj widzieć na klęczkach przed sobą, podniósł ją i pieścił jak czuły ojciec córkę, któréj błąd przebaczał.

Otworzył okno, długo niém wyglądał, i potém zapytał:

— Czy Polcia śpi?

— Śpi. Kiedym tu przyszła, spotkałam ją na schódkach, i sama do łóżka ją położyłam.

— Zostaw ją przez jutro u mnie Beatrice, a zapisz swój adres na téj kartce w moim pularesie. Wieczorem odprowadzę ją sam do domu do ciebie — i do jéj ojca.

. . . .

— Wszak wczoraj wieczorem po mnie przyszli zdaje mi się? — zawołała Polcia wszedłszy zrana do śniadania, z twarzyczką rozjaśnioną i trochę zuchwałą.

— Przyszli po ciebie Polciu, ale wyprosiłem sobie, że tu cały dzień zostaniesz i że cię wieczór odprowadzę do domu.

— Słowo daję, rzekła Polcia, żeś ty bardzo śmiały mój kochany. Pomysł jego jednak zdawał się Polci przypadać do smaku — dodała więc: muszę cię przecie pocałować, chociaż jesteś tak śmiałym.

Pocałowała go więc i usiedli do śniadania w humorze nader rozmownym.

— Spodziewam się, że się starać będziesz zabawić mnie, mówiła Polcia.

— Naturalnie, że tak uczynię, odpowiedział Barbox. — Ucieszona jego obietnicą Polcia, położyła chleb z masłem na stole, oparła swe prawe tłuste kolanko na lewém, a zebrawszy się tak w koło siebie, mówiła przymilając mu się:

— Cóżmy więc poczniemy, mój drogi, stary przyjacielu?

— Właśnie się nad tém zastanawiam, rzekł Barbox Bracia. Czy ty lubisz konie Polciu?

— Lubię kucyki, mówiła Polcia, szczególniéj, kiedy mają długie ogony; ale koni nie lubię, są zbyt duże, wiesz?

— Dobrze, mówił Barbox Bracia w tonie bardzo tajemniczym, odpowiednim ważności ich narady. Polciu, widziałem wczoraj po rogach ulic afisze, przedstawiające dwóch ogoniastych kucyków, pstrokatych od stóp do głów.

— Nie, nie, to nie może być, wykrzyknęła Polcia, jak gdyby pragnęła, ażeby się dłużéj zatrzymał nad szczegółami tak zachwycającemi. Czy rzeczywiście całe były pstrokate?

— Całkiem były pstrokate te kucyki i skakały przez obręcze.

— Nie, to nie może być, nie słyszałam nigdy, że kucyki skaczą przez obręcze, krzyknęła Polcia ze wzrastającém uniesieniem.

— Zapewniam cię o tém, że skaczą, a nawet strzelają te kucyki.

— Kucyki strzelają, zawołała Polcia z zapałem, co téż ty za bajki pleciesz?

— Nie, słowo ci daję, że prawdę mówię, zapewniał Barbox Bracia. Sądzę więc, że dobrze by było, gdybyśmy obydwoje poszli do cyrku, gdzie są te kucyki. Byłoby to zapewne z wielką dla nas korzyścią.

— Czy to ma znaczyć, że zabawilibyśmy się? pytała Polcia. Ty używasz tak długich, dziwnych słów, mój kochany.

Przepraszając ją, że tak niezrozumiale się wyraził, powiedział, że to znaczy: zabawimy się, że wiele tam jeszcze zobaczymy rzeczy podziwienia godnych, oprócz tych kucyków. Panów i panie w bogatych strojach, słonie, lwy i tygrysy.

Polcia poważnie spojrzała na czajnik, z nosem zadartym do góry i czołem cokolwiek zachmurzoném. — Ależ ich zapewne nigdy nie wypuszczają? zapytała nareszcie wahając się.

— Słoniów, lwów i tygrysów? nigdy moja droga.

— I nikt się zapewnie nie obawia, że go kucyki zastrzelą? dodała Polcia.

— To się nigdy nie wydarza.

— Nie, nigdy się nie wydarza, rzekła Polcia zaspokojona.

— Sądziłem także, rzekł Barbox Bracia, że moglibyśmy wstąpić do sklepu, gdzie mają zabawki i wybrać lalkę.

— Lalkę, przerwała Polcia, uderzając w ręce, ale ta lalka nie będzie ubraną?

— Będzie kompletnie wystrojoną, kupimy także gospodarstwo dla téj lalki, i wszystko co do tego należy.

Polcia krzyknęła z radości i była w niebezpieczeństwie omdlenia ze zachwytu. Jak ja ciebie kocham zawołała, opierając się o krzeslo pod silném wrażeniem swych uczuć — pójdź niech cię uścisnę, muszę cię uścisnąć! —

Plan powyższy, tak wiele obiecujący, z największą ścisłością został przeprowadzonym, z tą tylko odmianą, że najsamprzód poszli do sklepu po lalkę, ażeby i ona mogła skorzystać z widoku kucyków. W tym wielkim składzie Polcia wśród lalek jéj prawie wzrostu, przypatrująca się, nie wiedząc, którą wybrać miała, przedstawiała obraz nie zgadzający się wcale z wyrazem niezmąconego szczęścia, jaki zawsze był na jéj twarzy; ale ta lekka chmurka szczęśliwie przeminęła. Zgodziła się wreszcie po długiém wahaniu na jednę. Zdawała się być pochodzenia czerkieskiego i posiadała tyle zachwycającego wdzięku, ile z nienaturalną szczupłością ust zwykłą u lalek połączyć się daje. Miała futro jedwabne błękitnego koloru, różowe atlasowe majtki, i czarny, aksamitny kapelusz. Zdawało się, że nadobna cudzoziemka, zwiedzając nasze strefy północne, tę formę kapelusza zdjąć musiała z obrazów księżniczki Kentu. Melukka było imię nadane od Polci téj znakomitéj, obcéj, przybyłéj z pod szczęśliwych niebios słonecznego klimatu. Barbox kupił dla niéj odpowiednie gospodarstwo. Pogrzebacz cudzoziemki nie był większy od zwyczajnych srebrnych łyżeczek od kawy, a patelnie tak wielkie, jak zegarek Barboxa.

Panna Melukka tak była zadowoloną cyrkiem, jak i Polcia. Kucyki rzeczywiście były pstrokate i nie uszkodziły nikogo strzelając, a dzikie zwierzęta okazały się bardzo łaskawe. Barbox zdawał się brać udział najżywszy w tych rozkoszach, których był twórcą i pił przy obiedzie zdrowie panny Melukki, która siedziała na przeciwko Polci, przywiązana do krzesła. Nadeszła nareszcie chwila, kiedy trzeba było pannę Melukkę wraz z jéj bogatą garderobą, i liczném gospodarstwem, i Polcię w dorożce odwieść do domu. Lecz kiedy ta chwila nadeszła, Polcia nie zdołała już dłużéj patrzeć otwartemi oczyma na te liczne skarby swoje — usnęła. Spij Polciu, spij! rzekł Barbox Bracia, kiedy jéj główka opadła na jego ramię, z tego łóżka nie wypadniesz tak łatwo, o tém jestem przekonany.

Potém wyjął jakiś papier z pularesu i złożywszy go starannie ukrył w zanadrzu Polci. Co to był za papier, o tém nie wspominajmy, bo i on o tém nigdy potém nie mówił.

Pojechali na skromne przedmieście i stanęli na podwórku niepozornego domu.

— Nie budź dziecka mówił, Barbox Bracia cicho do woźnicy, ja śpiącą zaniosę do mieszkania.

Witając matkę Polci trzymającą światło w otwartych drzwiach, poszedł z nią i z ciężarem swoim do pokoju. Tam leżał na kanapie chory mężczyzna, bardzo wyniszczony, mając oczy przykryte wychudłemi rękami.

— Tresham, rzekł Barbox Bracia głosem przyjaźnym, przyniosłem ci Polcię uśpioną. Podaj mi rękę i powiedz, że się masz dobrze.

Chory wyciągnął ku niemu prawą rękę i schylił głowę na rękę, którą on mu podawał, by ją ucałować.

— Dziękuję ci, dziękuję. Teraz powiedzieć mogę, że się mam lepiéj, i że jestem szczęśliwy.

— To mnie cieszy, rzekł Barbox. Tresham, nie chciałbyś mi tu miejsce zrobić przy sobie?

Usiadł przy nim na kanapie i głaskał pulchny, różowy policzek, spoczywający na jego ramieniu.

— Jestem obecnie już starym człowiekiem, a z wiekiem ludzie nabywają dziwacznych pomysłów, postanowiłem więc znalazłszy Polcię nie oddać jéj nikomu inszemu jak tobie. Czy chcesz ją przyjąć odemnie?

Ojciec wyciągnął ramiona, by dziecko przygarnąć do siebie i obaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Ty ją bardzo kochasz Tresham?

— Nad wszelki wyraz!

— Niechaj ją Bóg pobłogosławi! Nie jest w tém żadna zasługa, moja Polciu, rzekł daléj zwracając oczy na pogodną twarz śpiącego dziecka, jeżeli ja grzeszny człowiek, wzywam błogosławieństwa nieba dla małego dziecka, istoty o wiele lepszéj odemnie; lecz klątwa ciążyłaby wiecznie nad głową okrutną, nad duszą grzeszną, któraby mogła być tak występną wzywać na ciebie przekleństwa. Lepiéjby naówczas było, gdyby mi kamień młyński uwiązano u szyi i gdyby mnie wrzucono w głębokości morza. Żyj i chowaj się moje drogie dziecię! (tu ją pocałował), żyj i bądź szczęśli-

wą, a kiedy czas nadejdzie, bądź matką takich małych aniołów, jakim ty teraz jesteś.

Pocałował ją powtórnie, oddał ją pieczy rodziców i poszedł. Nie wyjechał jednak wcale do Walizyi, on nawet nigdy potem już Walizyi nie oglądał. Przeszedł się po mieście, przypatrzył się ludziom, ich pracy, ich rozrywkom, tu i tam i owdzie. Bo on obecnie był firmą Barbox Bracia i Spółki i przyjął b ł tysiące spólników do téj niegdyś samotnéj firmy.

Barbox żyć zaczął z ludźmi i dla ludzi.

Późno powrócił do swego hotelu, stanął przy piecu, częstując się ciepłym napojem i przysłuchiwał się, jak zegary uderzały. Spojrzał na swój własny zegarek i spostrzegł, że wieczór szybko ubiegnął i że właśnie uderzała dwunasta. Kiedy zegarek chował do kieszeni, zobaczył się w lustrze wiszącym na przeciw komina.

— Wszak to dzisiaj urodziny twoje, odezwał się sam do siebie, dobrze wyglądasz, życzę ci, by często jeszcze dzień ten szczęśliwie powracał.

Nigdy dotąd takiego życzenia sobie nie powiedział.

— Na Boga, rzekł daléj, okoliczności się zmieniły, nie potrzebujesz już uciekać przed tym dniem. Muszę wraz z Febą rzecz tę roztrząsnąć. Mam jéj tak długą historję opowiedzieć, która się wysnuła z drogi przez nią obranéj. Wolę powrócić, aniżeli daléj jechać.

Wrócił więc do Mugby-Junction i tam na zawsze osiadł. Było to miejsce jak sądził, najwłaściwsze do osiedlenia się, bo tam mógł opiekować się Febą starać się o uprzyjemnienie jéj życia, a Beatrice mogła nauczać ją muzyki. Było to najwłaściwsze miejsce do osiedlenia się, bo ztamtąd mógł sobie czasem Polcię zaprosić w odwiedziny. Było to najwłaściwsze miejsce do osiedlenia się, bo ztamtąd mógł najłatwiéj zwiedzać miejca i osoby, które pokochał. *M.*

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki

(Dokończenie.)

VII.

Pobyt na polanach, jak poprzednio powiedziałem — to najpiękniejszy ustęp w życiu górala. Tam on zapomina o podatkach, o kłopotach w ciemnéj chacie — biega po niedostępnych turniach za owcami, przysłuchuje się ciekawie echom wśród skał i raczy się żentycą.

Pielgrzymka do tego El-dorado rozpoczyna się w połowie Maja, lub późniéj, jeżeli nie na czas gościnne śniegi nie chcą im się usunąć; wtedy to na drogach wiodących od wsi w góry spotykasz co chwila stada białych i czarnych owiec, wśród podniesionéj kurzawy, utrzymywane w porządku przez dużych, białych liptowskich psów; za stadem ciągną wózki pełne cebrzyczków, skopców, kotłów i innego naczynia — a obok postępują juchasy (pasterze), których rozróżnisz łatwo od innych górali po krótkich, ciemnych, atłasowych koszulach z szerokiemi rękawami. Możecie ciekawe panie, w jaki sposób biedny pasterz przychodzi do tego zbytkownego ubioru. Nie potrzebuje wcale do tego jedwabników, nie przędzie kokonów, ale poprostu warzy swoją lnianą koszulę w maśle, przez co ciemnieje i nabiera atłasowego połysku. Ten sztuczny jedwab chroni go od robactwa, a ciemny kolor uwalnia go od prania, i często jedną koszulą opędza cały pobyt w górach. Koszula ta spięta jest na piersiach dużą broszą, podobną do mosiężnych blach, jakie wójci po wsiach noszą; końce szerokich rękawów ozdabiają wstążki i paciorki. Pod koszulką lub na niéj opina ciało szeroki pas dochodzący do połowy piersi. Na głowie juchasa siedzi w kształcie grzybka mały kapelusz, ubrany w sznurek białych muszelek i z fantazją włożony — a z pod niego spadają na ramiona długie ale rzadkie włosy, na które również masła nie szczędzono. Krótki serdaczek (korzuszek sięgający po pas, bez rękawów), spodnie opięte, wełniane, kerpce i fajeczka węgierska, krótka, okuta żółtą blachą, uzupełniają resztę ubrania.

Mijasz kilka takich gromad po drodze i znowu spotykasz inne. Oto dziewczęta siedzące po męzku na koniach, w fartuchach zarzuconych na ramiona i w chustkach na głowie, wyglądające jak beduiny — pędzą poważne krowy, brzęczące blaszanemi dzwonkami. Każdemu takiemu pochodowi towarzyszą gwarne rozmowy, śmiechy, śpiewy i muzyka. Gromady te schodzą z głównéj drogi, każda w inny wąwóz i giną za pagórkami; tylko głośne hukania i krzyki odzywają się jeszcze z świerkowych lasów. Na gościńcach znowu pusto, spokojnie; ale za to na polanach ruch, życie i wrzawa. Owce radosném beczeniem witają znajome pastwiska i w śmiesznych podskokach biegną za swym przewodnikiem, konie tarzają się po zielonéj polanie, juchasy naprawiają szałas, wnoszą naczynia — a stary baca roznieca ognisko. Ten ogień już nie zagaśnie, dopóki juchasy mieszkać będą w szałasie — jest to rodzaj Znicza, tłomaczący nam cześć ognia u Pogan. Trudność zrobienia ognia była niegdyś powodem utrzymywania go; dziś choć przemysł wynalazł już zapałki, górale bądź przez oszczędność, bądź przez przywyknienie do starych zwyczajów, strzegą jak westalki tego ognia. Takich pra starych zwyczajów i zabytków dużo tutaj jeszcze spotkać można, archeologja powinnaby pilnie ich szukać, możeby one więcéj powiedziały nam nieraz, niż odkopany garnek. Weźmy np. wyraz „błoniarz“ — powszechnie używany na podhalu. Z początku nie zastanawiałem się nad nim pewny będąc, że oznacza pasterza, gdy naraz dowiaduję się, że oznacza szklarza. Górale nie przyjęli nowego wyrażenia, zatrzymali dawny z tych czasów, gdy b ł o n a m i

zwierząt chronili swe wyglądy (okna), od podmuchów wiatru i śniegu. Jakież to cenne zabytki — takie wyrazy; to niby wieka na pół spruchniałych trumien, które uchylone ukazują nam zabalsamowane rysy umarłéj przeszłości. Ale panie może nie lubicie grzebać w trumnach i przypatrywać się takim nieboszczykom? Przepraszam więc za zboczenie — wracam do rzeczy.

W tydzień po wypędzeniu trzody w polany — przybywają jéj właściciele ze wsi i pod ich okiem odbywa się udój owiec. Mleko ze statku (trzody) każdego właściciela zlewają w osobne naczynia i potem zamiast mleka wlewają wodę do téj saméj wysokości, w jakiéj stało mléko — ważą tę wodę i ciężar jéj mnożą przez 8. Wiele funtów waży ta woda w naczyniu (ośm razy wzięta), tyle funtów séra mają oddać juchasy właścicielom owiec po spędzeniu z hal; co nadto — do nich należy, jako zapłata za pilnowanie. Właściciele wybierają zwykle swoją należytość w sérach nie prasowanych, w tak zwanym twarogu; — zaś juchasy, swoją część ściskają w praskach w kształt brusków, oszczepków, gęsi itd. — i handlują têm po jarmarkach. Największą wziętość i renomę mają séry z Pyszniańskiego szałasu, do którego właśnie zbliżamy się teraz.

Szałas stał na nie wielkim pagórku, u spodu którego szumiał głośno potok. W cieniu, jaki rzucał na murawę jeden bok szałasu, ujrzeliśmy jakichś dwóch jegomościów wraz z przewodnikiem. Jeden z nich szczupły i wysoki, z ogromnym apetytem zajadał huzarską pieczeń — drugi nizki, otyły palił cygaro. Poprosiłem o ogień i ztąd zawiązała się rozmowa.

— Śliczna okolica — odezwałem się, patrząc na sine, nagie szczyty Pysznéj, po których cienie chmur od czasu do czasu przebiegały. Ze zdziwieniem zauważyłem, że moja pochwała nie zwróciła całkiem uwagi dwóch podróżnych, żaden z nich nie uważał za stósowne zawtórować mi, jeden kończył swoją pieczeń, a drugi cygaro.

— Panowie nie pierwszy raz w tych stronach zapewne? spytałem.

— Owszem, pierwszy.

— I jakże się panom tu podoba?

— Ja przyznam się panu, odezwało się cygaro, nie jestem amatorem gór; ale widzisz pan, przyjechałem tutaj dla kommocyi. Moja żona zauważyła po ubraniu, żem nieco przytył, a że ona tego nie lubi, więc z porady doktora wybrałem się tutaj na kuracją. Uważasz pan? Męczę się, bo męczę i to okropnie, ale cóż człowiek nie robi dla zdrowia.

— Czy i pan dla schudnięcia? zapytałem pieczeni.

— A uchowaj mnie Boże. A toż pan widzisz, ledwie skóra i kości na mnie. Powiadam panu, od jakiegoś czasu straciłem zupełnie apetyt, różnych próbowałem lekarstw — i nic, nawet ziółka Dytlowskie mi nie pomagały, poradzono mi w końcu góry i rzeczywiście przekonałem się, że to przecudne górskie powietrze dobrze mi robi. Panie, gdyby teraz moja ciotka widziała jak ja jem — ona, która się martwiła brakiem mego apetytu — panie, jakby się ta kobieta cieszyła. Mowę swoją przerywał kąsaniem i połykaniem pieczeni. Po chwili odrzucił zatłuszczony papier, schował nóż, obtarł usta i rzekł zadowolniony:

— No, tom sobie podjadł.

— A ja głodniuteńki — rzekło płaczliwie cygaro.

Spojrzałem z zdziwieniem na niego — spostrzegł to i nie omieszkał wytłómaczyć mi:

— To panie tak dla kuracyi.

— Jędrek — rzekła pieczeń do przewodnika pełna dobrego humoru — przynieś mi wody z potoku.

— I mnie — odezwało się cygaro, a półgłosem dodało dla uspokojenia się — taka nalana jak i nadziana.

— A już to można powiedzieć, że woda tutaj wyśmienita — rzekła pieczeń do mnie — co tu za woda. Panie, na takiéj wodzie u nas w Warszawie majątekby zrobił.

— Pan zapewne przemysłowiec?

— Jestem kupcem — a po czém pan się domyśliłeś?

— Po pańskiéj praktyczności.

Wziął to za komplement i uśmiechnął się zadowolniony.

— Panie, co to za kapitał byłaby taka woda w Warszawie. Uważa pan, jaki ta woda szalony apetyt wyrabia?

— Apetyt? spytało z przestrachem cygaro.

— A, jak Boga kocham. Nie uważałeś pan tego? a to najwyraźniéj.

— Mają wodę — rzekł przewodnik podając skopiec.

Pieczeń przyczepiła się jak pijawka do skopca. Resztę wody podał towarzyszowi.

— Podobno i pan chciałeś pić.

— Nie, nie — ślicznie dziękuję, przeszło już pragnienie.

— Ale choć trochę, jaka wyborna!

— Dziękuję.

— I czemuż?

— Dla kuracyi, ja się boję apetytu.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się głos za mną. Był to głos jakiś dobrze mi znajomy. Odwróciłem się i zobaczyłem wychodzącego z szałasu starego Marcina i jego nabożną córkę, m u i s z k ą nazwaną.

— Witajcie!

Góral skłonił mi się do kolan.

— A wy tutaj co robicie?

— Przyszedłem zajrzeć na owce i zabrać sérki dla sidzińskiego księdza, bo mu dziewucha chce zanieść w podarunku.



Gruckstein.

„Kalina."

Moniteur des Modes Européennes.

1867.

— I czemuż tak uzbrojony? spytałem patrząc na pistolet, co mu wyglądał z za pasa.

— A to na tego zbója Mateja, bo widzicie odgrażał się Maryśce za Frankę.

— I cóż Marysia mogła jéj złego zrobić?

Spojrzałem na dziewczynę, która stała za tatusiem z oczami skromnie w dół spuszczonemi; przy sznurku dużych korali, które miała pod szyją, wisiały skaplerze, medaliki, krzyżyki; koło nie dużych i jak na góralkę dość białych, delikatnych rączek miała okręconą koronkę. Był to ciekawy typ dewotki góralki. Kilka podobnych typów zdarzyło mi się widzieć późniéj i jak się dowiedziałem, wszystkie należały do jakiegoś religijnego stowarzyszenia, które organizował ksiądz z Sidziny. Gorliwością tego stowarzyszenia rozpoczęto nawet budowę kościoła w Chochołowie, którego proboszczem miał być właśnie ów ksiądz.

— A to widzicie — rzekł Marcin odpowiadając na moje pytanie — moja Maryśka ma wstręt do Franki i nie tai się z tém wcale.

— I za cóż tak? Czy ci co złego zrobiła?

— To nie, ale ona heretyczka, w kościele jéj nie uświadczy — odrzekła z nabożną dumą góralka.

— Ona a Franka — to ogień i woda, tak niepodobne do siebie — ciągnął daléj Marcin. Toteż gdy tego pędziwiatra moja dziewucha gdzie spotka, odwraca się i żegna jak od złego ducha. Kiedyś zdarzyło się, że koło nas zepsuł się pies i gonił za Franką, przestraszona cyganka dobiegłszy do naszéj chaty chciała się schronić, ale Maryśka jéj nie puściła.

— Nie? i czemuż? spytałem oburzony.

— Bo widocznie Pan Bóg za jéj złe życie chciał ją przez psa wściekłego ukarać — odrzekła znowu nabożnie zakamieniała mniszka.

— I cóż się z Franką stało? spytałem ojca odwróciwszy się z niechęcią od córki.

— A coby jéj było? Widząc zaparte drzwi skoczyła zwinnie jak gadzina na drzewo i uczepiona o gałęź wisiała tak, aż strach minął. Ale za to potem przypadła sama gorsza od psa wściekłego i tłukąc pięścią w nasze drzwi, klęła, aż strach słuchać było i odgrażała się mojéj dziewczynie.

— I cóż z tém wszystkiem za związek mieć może Matej?

— A to nie wiecie panie? Toż po wsi całéj gadają, że ona trzyma z nimi.

— Z kim?

— No z całą bandą i nieraz ich ostrzegała, jak żandarmy weszli do wsi. Otóż widzicie, dla tego nie chciałem dziewczyny saméj puszczać na polany, bo nużby ją który z rabuśników spotkał. Do tego jeszcze Maryśka od kilku dni ma jakieś sny trapiące, złe. — Jużeśmy i na wotywę dali i nic nie pomogło.

— Chodźwa tatusiu, bo nie zajdziewa na czas do jegomościuńka — rzekła Maryśka ciągnąc ojca za guńkę. Niech będzie pochwalony — dodała nam na pożegnanie i zeszła wraz z ojcem ścieszką w las.

Gdy odeszli, przewodnik owych dwóch panów pokiwał drwiąco głową.

— Cie, boi się o swoją dziewuchę; a lichoby komu z niéj przyszło. Matej nie taki głupi i wolałby się dobrać do jego skrzyni.

— Więc Marcin bogaty?

— O to hruby gazda (bogaty gospodarz.) No, ale jeżeli paniczkowie mają iść na Pyszną — dodał po chwili — to już straszny czas, bo słonko już schodzi z południa, a do wirchu jeszcze spory kądeczek (kawałek).

Poszedłem po panie rozmawiające z juchasami z drugiéj strony szałasu.

— No, państwo — czas już w drogę. Panno Paulino, służę pani — i podałem jéj ramię.

— Na którąż to górę wyjść mamy?

— Widzi pani ten stok góry zielony, wyglądający jak bok dachu olbrzymiego — to pierwsza kondygnacyja Pysznéj, a ten drugi dach grzbietem na pierwszym stojący — to szczyt góry.

— I czy pan sądzisz — spytała ciocia wsparta na ramieniu Cyryjaka, który z zadowolnieniem gładził swoją bujną brodę — czy pan sądzisz, że wątłe siły kobiety podołają tym trudom?

— Przeszłego roku byłem tam na tym niższym szczycie w towarzystwie kilku młodych pań, tylko s t a r s z e zostały w szałasie i czekały na nas — dodałem znacząco.

— W takim razie ja idę — rzekła ciocia.

— I ja — rzekło z westchnieniem cygaro — to mi dobrze zrobi!

— Toż to dopiero będę miał apetyt po takiéj drodze, już się naprzód cieszę — odezwała się pieczeń zacierając ręce.

Ruszyliśmy więc w drogę. Minąwszy mały staw zarosły sitowiem, weszliśmy w wyschłe łożysko jakiegoś potoku, które z daleka wydawało się jak wygodna biała ścieszka, a z bliska przedstawiało złomy kamieni, po których bacznie chodzić trzeba było. Potém ścieszka podnosi się w górę, i trzymając się brzegu zarośli kosodrzewiny, skręca się mocno w lewo.

— Dla czegóż tak okrążamy górę? spytała Paulinka. Wszak nierównie bliżéjby było idąc prosto.

— Ale zbyt bystro. Droga, którą idziemy, wydeptana jest przez owce i pasterzy, a tak pierwsze, jak drudzy, niezawodnie najlepsze drogi wyszukać um[illegible]

Im bardziéj bystrą stawała się droga, tém t[illegible]rzystwo nasze stawało się cichszém; cygaro sapiąc [illegible] miech kowalski, z trudnością drapało się po[illegible]

nogom swoim często rękami, a ciocię nieść prawie musiano.

— Ależ państwo — odezwało się wreszcie cygaro— toż należałoby wypocząć, przypatrzyć się trochę tym przecudnym widokom — oh! jak tu ślicznie.

Rozśmiałem się słysząc te wykrzykniki zachwytu z ust człowieka, który całéj piękności Tatrów używał jedynie dla tego, aby mógł o parę cali ściągnąć bardziéj swoją kamizelkę.

— A pani spocznie trochę? spytałem mojéj towarzyszki.

— Dobrze — odrzekła i siadła na trawie, rozglądając się po okolicy.

Zmęczenie okryło twarz jéj żywym rumieńcem, pierś falowała pospiesznym oddechem.

— Panie, co to czerni się tam wśród zielonego lasu, jak rozlany atrament?

— To smereczyński staw.

— A którędyż my weszli w tę kotlinę? wąwozu nie widać ztąd wcale.

— Skały go nam zasłoniły; zobaczy go pani z wierzchołka, ale....

— Cóż takiego?

— Nie wiem, czy do niego dojdziemy — o! patrz pani. —

Na skałach wąwozu, któryśmy przebyli, zbierały się gęste mgły i schodziły się ze sobą; niebo nad nami posępniało. W dali tylko, nad Nowotargską doliną jaśniała pogoda. Ten słoneczny, łagodny krajobraz zasłaniała coraz bardziéj czarna chmura, co jak kurtyna spadała coraz niżéj i zbliżała się ku nam. Wreszcie mgły kłębujące się wpadły pomiędzy góry, zakręciły się jak w kotle i otoczyły nas niby klosz matowy tak, że na kilka łokci odległości z trudnością można było rozeznawać przedmioty. Czasami wiatr roztargał na chwilę mgłę, rozpędził ją i przez tę szczelinę widzieliśmy jeszcze słoneczne krajobrazy dalekich okolic, przecięte srebrnemi strunami deszczu. Wilgotne zimno objęło nas.

— Ach, jakie to piękne — zawołała Paulinka; ale gdzież ciocia? Ciociu! ciociu! — Głos wsiąkał we mgłę — nikt nam nie odpowiadał; tylko zberczenie dzwonków owczych słychać było w niewielkiéj od nas odległości.

— Wiesz pan jakiego doznaję uczucia? spytała mnie towarzyszka. Oto zdaje mi się, jakbym była pod wodą. Mgła jak potop nowy zalewa te skały i wypełnia przepaście.

— A my nie mamy arki tak lekkiéj, by wstąpić na fale tego oceanu.

— Ale gdzież ciocia? Może tamci państwo się wrócili? dodała z przestrachem:

— Niepodobna. Mgła jest tak gęsta, że z trudnością drogę odszukaćby mogli. Cicho.... słyszę jakieś głosy.

Rzeczywiście ktoś się zbliżał; przez mgłę kształty człowiecze przebijały jak cienie. W końcu ujrzeliśmy całe towarzystwo zbliżające się ku nam. Ciocia była strwożona, przerażona tą małą przygodą — kuzynek drżał ze zimna; tylko pieczeń i cygaro ze spokojem znosili wszystko — dla zdrowia. Za chwilę śnieg w kształcie krupek sypać się począł. Okryłem Paulinkę moim szalem; reszta towarzystwa powdziewała burki, płaszcze i pokładła się na ziemi. Byliśmy podobni w tych fantastycznych strojach do czatów Kirgizów, wyczekujących nieprzyjaciela w milczeniu. Krupki śniegu stawały się coraz większe, aż w końcu przemieniły się w dość gruby grad.

— Ja to odchoruję — skarżyła się ciocia z pod płaszcza, którym się nakryła. Cyrjak stał obok niéj zamyślony, gładził brodę i zapewne rozważał, czy to wypada człowiekowi ze stanowiskiem, profesorowi kaligrafii awanturować się w taki sposób po górach. Paulinka była wesoła, rozmowna i chichotała się ciągle. Ślicznie wyglądała jéj rumiana twarzyczka omatulona w szal jak w kwef zakonny.

— A to zabawna taka awanturka. Ja to bardzo lubię. I długo my tak panie w tym mglistym kapturze siedzieć będziemy?

— Zdaje się, że nie długo. Uważa pani ten ciemny kawałek przed nami — to szarą ścianę Ornaku widać już przez rzedniejące mgły — i słońce już przegląda— o! ten promyk, co jak miecz złoty przecina chmury — to gołąb Noego, który nam zwiastuje, że potop ustał.

Słonecznych promieni coraz więcéj przybywało — mgły coraz rzadsze szybko przeciągały koło nas jak duchy, w końcu rozpękły na kilka części i rozleciały się po lasach, jak kłęby dymu po armatnim wystrzale.

Osuszywszy się nieco, zabraliśmy się do dalszéj drogi i w pół godziny stanęliśmy na pierwszéj kondygnacyi Pysznéj.

— Ach, śnieg, śnieg! — zawołała Paulinka i z dziecinną radością pobiegła na szeroką płachtę śniegu leżącą na drugim stoku góry.

— Śnieg wśród gorącego lata, a to, jak mamę kocham, oryginalne — i poczęła tupać drobnemi nóżkami po zmarzłéj skorupie śniegu.

— Stoimy już na węgierskiéj stronie — rzekłem — grzbiet téj góry stanowi granicę — a ten krajobraz słoneczny, który pani widzisz w ciemnych ramach gór — to już Węgry — Liptowska dolina.

Spojrzała na chwilę — ale wnet wróciła się znowu do śniegu: widocznie śnieg bawił ją więcéj niż krajobraz, bo to była nowość i tak była tém zajęta, że do-

prawdy żałowałem, iż w téj chwili w śnieg się zamienić nie mogę.

— Pan masz siekierkę — proszę mi odrąbać trochę białego śniegu zpod téj brudnéj skorupy.

Zrobiłem jak chciała; schyliła się skwapliwie, uskubnęła paluszkami małą grudkę śniegu i włożyła w usta.

— Co pani robi? — ależ zaziębić się można.

— Czy pan zaziębił się kiedy lodami na balu? — A widzisz pan, że nie. A to są nasze pensjonarskie lody; gdyby tylko soku trochę lub kawałeczek cukru, a pewna jestem, że i pan nie wzgardziłbyś tutaj tym przysmakiem.

A ty czego się śmiejesz? — rzekła zwracając się nagle do małego pastucha, który stał opodal na podwyższeniu i śmiejąc się, wyszczerzał białe zęby. Biała guńka jego pokazywała, że był już z Liptowskiéj strony.

— No, i czegóż się śmiejesz? — powtórzyła Paulinka.

— Je, bo tak byle co pakujecie do gęby.

Skrzywiła się zadąsana i odwróciła się od niego.

— Niech mu pani wytłomaczy, że to dobre. że to lody

— Eh, idź pan sobie.

— Idę już, pani.

— Jakto? pan odchodzisz? Ależ ja żartem mówiłam.

— A ja na serjo odchodzę.

— Gdzie? —

— Tam — na drugi szczyt, gdzie ten mały krzyżyk czerni się na tle nieba.

— I nas panowie zostawicie, tak same?

— Dwóch tylko kolegów pójdzie ze mną, reszta zostaje i wraca z paniami.

— Zostań i pan.

Prośba była tak ponętna, że wachałem się między pięknym widokiem, jaki mnie czekał u szczytu a między piękną panienką; wreszcie to pierwsze przemogło, postanowiłem iść.

— I tak już późno — nie zajdziecie panowie — rzekła Paulinka.

— Za godzinę będziemy na szczycie. Ścieszka idzie samym grzbietem góry.

— Tym grzbietem? Ależ to niebezpiecznie, pan jeszcze spaść może.

— W takim razie będę pierwéj niż pani na dole. Przechodząc po mym trupie, uronisz pani łzę żalu nad bohaterem, który poległ w walce z naturą — dodałem, śmiejąc się.

— Eh, gniewam się na pana.

— Za powrotem przeproszę.

To rzekłszy, uścisnąłem jéj rączkę i pożegnałem ciocię.

— Jakto? Panowie jeszcze daléj w górę idą? — spytało cygaro, sapiąc jak miech kowalski.

— Dla kommocyi i dla apetytu.

— Dla apetytu? — To ja już tu zostanę — przy damach.

— Do widzenia więc.

I ruszyliśmy w drogę, ja i moi dwaj koledzy. Paulinka jakiś czas patrzała za nami, twarzyczka jéj bieliła się na tle ciemnego szalu, ale w miarę odległości coraz bardziéj malała, malała, aż się zmniejszyła w niewidzialny punkt — a cała postać panienki wydawała się z daleka, jak mała laleczka, którą się dzieci bawią. Wreszcie z powodu silnego wiatru, który dął od zachodu, zmuszeni byliśmy zejść ze grzbietu góry o kilka kroków niżéj i iść stokiem góry, przez co straciliśmy zupełnie z oczów nasze towarzystwo. Szliśmy dość pospiesznie, mało się zatrzymując dla chwilowego odetchnienia. Korzystałem z tych małych chwilek i pilnie szukałem wśród głazów kwiatków dla Pawci. Kwiatków było nie wiele i to dość niepokaźne, za to odnajdywałem wśród wypalonéj od słońca trawy porosty ciekawych kształtów. Między innemi znalazłem jeden, zupełnie jakby mały kieliszek do szampańskiego wina z chleba ulepiony i ususzony, tylko nieco w blado-zielony kolor zachodził. Zwie się „chrobatek strzępkowaty“ (Cladonia fimbriata); a druga jego odmiana jeszcze piękniejsza, bo ma czubek kieliszka jakby czerwonym lakiem znaczony — nosi nazwę: „piękny chrobatek“ (Cladonia gracilis). Oba te okazy starannie zachowałem dla Paulinki — i ruszyłem daléj w drogę.

Im bliżéj szczytu, tém człowiekowi spieszniéj, choć zmęczenie większe. Jest w człowieku jakaś nieprzeparta chęć piąć się coraz wyżéj i wyżéj — wszystko jedno, czy tą wyżyną jest wielkość i sława, czy nagi szczyt góry. Oprócz pięknego widoku, jaki z takiéj wyżyny się otwiera, jest jeszcze jakieś uczucie zadowolnienia, jakaś piękna duma, która wtedy rozpiera piersi i czyni znośnemi największe trudy. Człowiek stąpając po grzbiecie tych skamieniałych tytanów, które w dniach wulkanicznéj rewolucyi szturmowały niebo — sztukuje ich wielkością swoją małość, budzi się w nim poczucie siły, pragnienia szlachetniejsze, podnioślejsze. Świat starożytny rozumiał to dobrze, mieszcząc na górach bogów, proroków i poetów; Olimp — Synaj — Parnas nie bez powodu były ich siedliskiem! W dolinach człowiek pełza jak robak wśród błota i brzydkich namiętności, na szczytach gór i na wyżynach natchnienia i sławy — żyje po orlemu, wierzy w niepodobieństwa — potężnieje.

Takiego uczucia doznawałem stanąwszy na szczycie góry przy zatkniętéj tyczce geometrycznéj, która z daleka krzyżem nam się wydawała. Szalony wicher szamotał naszém odzieniem i kusił nas, jak szatan Chrystusa obietnicą, że nas przeniesie na silnych swoich skrzydłach nieuszkodzonych po nad te przepaście, które się u nóg naszych otwierały. Niebo było pogodne, bez chmurki, a na błękitném tle jego sterczały

ciemne, granitowe szczyty gór, ubielone gdzieniegdzie śniegami. Groźne, milczące zdawały się poglądać na nas i pytać: po co my tutaj. Od południa rozciągały się majowe, zieloności liptowskie równiny; tu i owdzie za ciemnym lasem bieliły się dziedziny (wsie murowane), porozrzucane dość gęsto po okolicy. Z téj ponuréj, groźnéj pustelni tatrzańskiéj oko chętnie biegło w zaludnione miejsca, przykryte łagodną jasnością zachodzących promieni niby skrzydłami. Na purpurowym pasie chmury kładło słońce złocistą rozpaloną głowę do snu. To nam przypomniało, że czas wracać. Z trudnością zdołaliśmy się oderwać od tego widoku i opuścić szczyt góry.

Z powrotem więcéj biegliśmy niż szliśmy, raz z obawy przed nadchodzącym zmrokiem, a powtóre — z powodu pochyłości góry, po któréj powolne schodzenie jeszcze bardziéj męczyło i podrywało nogi. Już dobrze się zmierzchło, kiedy zmęczeni doszliśmy do Pyszniańskiego szałasu, przy którym chwilkę zatrzymaliśmy się dla wytchnienia.

— Tamci państwo dawno przeszli tędy? spytałem juchasa.

— O! będzie więcéj jak godzina.

— No, trzeba nam się spieszyć panowie — księżyc już się srebrzeć zaczyna na niebie — rzekłem. Miałem bowiem tajemną nadzieję, że towarzystwo zatrzyma się koło karczmy, że jeszcze dziś zobaczę Paulinkę i przeproszę.

Zeszliśmy w las, którego wnątrze pociemniało już mocno; wśród ciemności robaczki świętojańskie przelatywały jak spadające gwiazdki; czasami jasny promień księżyca przez szczelinę gałęzi wsunął się w głąb lasu jak przechodzący duch i siadał na dużych liściach paproci. Szliśmy pospiesznie w milczeniu, utykając często po kamieniach. Naraz usłyszeliśmy jakieś żałośne wolanie, stłumione odległością. Trudno było wyrozumieć, zkąd głos pochodził. Głośném „hop“, „hop“, odpowiedzieliśmy na to. Po chwili wyraźniejsze i już bliżéj nas usłyszeliśmy wołanie:

— Na Boga! ratujcie!

Stanęliśmy niespokojni i powtórzyliśmy: hop, hop, nasłuchując potem w milczeniu odpowiedzi. Długo nic nie odpowiadało — potém usłyszeliśmy w pewnéj od nas odległości łomot gałęzi, trzeszczących pod czyjemiś nogami — coś zaszeleściało w krzakach, i po chwili wysunął się ku nam z ciemności, jakiś człowiek.

— Ksawerek! zawołałem — a ty zkąd i w takim stanie?

Ksawerek był przemokły, obtargany, blady ze strachu, i silnie robił piersiami z umęczenia.

— Co się z tobą stało?

— Ach to wy! oj, oj, oj, oj! o Jezus Marja — czekajcie, odpocznę nieco — oj! —

— Gdzieś ty był?

— A bo ja wiem? Zbłąkałem się. Odszedłszy od was, szedłem ciągle zaroślami, by się nie spotkać z ciocią, wlazłem w jakieś gąszcze, między spruchniałe pnie drzew i suche gałęzie, z których z trudnością ledwie się wydostałem. — Potém wszedłem w jakiś wąwóz, sądziłem, żem już na dobréj drodze i ucieszony przyspieszyłem kroku. Po godzinie drogi poznałem, żem się w jakieś nieznane dostał miejsce, szedłem jednak perswadując sobie, że ten wąwóz przecież gdzieś mnie doprowadzi. Tymczasem naraz wąwóz się skończył spadzistą ścianą, po któréj i koza by się nie wydrapała; trzeba więc było wracać się znowu. Wróciłem więc, ale znowu inną drogą, jakiemiś strasznemi wertepami, wśród kolących i ciernistych krzaków, na których część mojego ubrania zostawiłem. Na domiar nieszczęścia trafiłem na strumień dość głęboki i rwiący, przez który ani podobna było przejść. Łaziłem koło jego brzegów Bóg wie jak długo szukając miejsca do przeprawy, aż nakoniec ujrzałem zwalony świerk uschły leżący wpoprzek rzeki, a że był cienki i oślizgły, więc musiałem w okrak siąść na niego i pomagając sobie rękami, suwać się powoli. Świerk był chropowaty i pełen sterczących sęczków i gałęzi — możecie więc sobie wyobrazić, jaką częścią ubrania opłaciłem tą straszną przeprawą. W końcu straciłem równowagę, wpadłem w wodę i ledwie się staplany cały na brzeg wygramoliłem i szedłem wciąż nie wiedząc gdzie zajdę. Już zrozpaczałem i straciłem nadzieję — począłem krzyczeć w niebogłosy, aż ochrypłem. W końcu usłyszałem wasze hop, hop. — A! niech licho porwie góry, nie skusicie mnie więcéj razy. Wolałbym już był ciocię na rękach nosić, niż tyle użyć strachu i męki, co ja użyłem.

Mówił to z tak śmiesznemi grymasami, krzywiąc się i macając po bokach, że trudno nam było wstrzymać się od śmiechu.

— Moje kamaszki nowiuteńkie, mój surdut, za który dałem 30 fl. — mój Boże, wszystko na nic; a moje...

— Na późniéj lamenta mój Ksawerku, teraz spieszmy, by nam nie przyszło nocować tutaj. Spieszmy, może dogonimy resztę towarzystwa.

— Ależ ja cały mokry!

— Wyschniesz idąc.

— Ależ jakże ja się w takim stanie damom pokażę?

— Schowasz się do wózka, a ciemność pożyczy ci swego płaszcza.

— Dobrze tobie śmiać się — rzekł narzekając — i powlókł się za nami.

Niezadługo byliśmy w wąwozie, który w nocy jeszcze cudniejszy i bardziéj fantastyczny się wydawał. Światło księżycowe i mocne cienie w załomach dziwne, potworne kształty nadawały skałom; w cieniach skał Dunajec błyskał miejscami srebrném światłem księżyca i szumem wód kłócił uroczystą ciszę nocy.

Gdyby nie spóźniona pora i nadzieja dopędzenia towarzystwa — chętnie byłbym dłużéj zatrzymał się w tym uroczym wąwozie. Pospiech pozwalał tylko mimochodem chwytać okiem te cudowne widoki, jakie nam każdy zakręt rzeki i wąwozu przedstawiał. Koło dziesiątéj godziny doszliśmy do „Sowy“, która w nocy na tle nieba jeszcze większe sprawiała złudzenie. Zdawało się, że spłoszona naszemi krokami, zerwie się, uderzy miękkiemi skrzydłami i schowa się w szczeliny skał. Wychodząc z wąwozu, usłyszeliśmy rżenie koni.

— Są jeszcze — pomyślałem sobie i przyspieszyłem kroku.

Koło karczmy zwalonéj błyszczało nie duże ognisko, koło niego czerwiniły się twarze górali — naszych woźniców.

— A tamte panie?

— O ho, pojechały już dawno. Ta młoda panienka zostawiła wam tu coś, co skipi i syczy, jak duszyczka zaklęta. — I pokazali mi błyszczący samowar,, stojący na futrynie rozwalonego okna. Koło niego leżał pakiecik dość spory, na którym ołówkiem stało napisane: „dla głodnych a niegrzecznych podróżnych“.

Poczciwe paniątko!

(Koniec części pierwszéj.)

Wystawa powszechna.

(Ciąg dalszy.)

Wielce zajmującym jest widok p i e k a r n i. Ogień rozpalający piec rozgrzewa zarazem kocioł parowy, który porusza maszyny, załatwiające wszystkie przygotowawcze czynności — maszyna miesi ciasto, maszyna układa je w formy rożków i bułek, maszyna wkłada je do pieca; wszystko to odbywa się w oczach z szaloną prędkością, z pomocą kilku ludzi; przez cały dzień można każdéj chwili mieć świeże pieczywo.

Ogromne maszyny do dźwigania, do obrotu, lokomotywy, wystawione przez jednę fabrykę, przedstawiają zarazem w osobnym gabinecie cały s e k r e t s w o j é j p o t ę g i p r o d u k c y j n é j; tym sekretem jest o ś w i a t a. Jest tu zbiór prac szkolnych okazujących, że nieustanne kształcenie robotników należy tam do konieczněj pracy we fabrykach i warsztatach. Programy nauk, tablice z arytmetyki, geometryi i rysunków, wzory pisma i rozbiory nawet gramatyczne — oto źródła, a zarazem moralność nowego, przemysłowego porządku świata. Wszelkie prace myśli są bowiem z sobą w nieprzerwanym związku. Pod względem oświaty ludności robotniczéj wielkiéj są zasługi tak zwane k u r s a d o r o s ł y c h — nieraz ojciec z synami siedzi w jednéj ławce. Powstają też coraz liczniéj szkoły p r o f e s y j n e, terminatorskie, które fabrykom dostarczają gotowych już i wykształconych robotników. Szczególne pożytki przyniosły już dotąd we Francyi zakłady Lemonnier— s z k o ł y n a u k i p r o f e s y j n é j d l a d z i e w c z ą t. Dostały one na obecnéj wystawie medal srebrny za malowanie na porcelanie i drzewie. Istnieją one od lat czterech, w miarę funduszów przybywają coraz nowe kursa — utrzymują się kosztem prywatnym, czyli jak mówi Simon: s ą t o d z i e ł a w o l n o ś c i. Rano odbywają się nauki teoretyczne, począwszy od czytania i pisania — popołudniu profesyjne, uzdalniające do wszelkiego rodzaju zawodów przemysłowych. Dziewczętom kończącym nauki w zakładzie, wyszukuje miejsca osobny komitet i umieszcza je; czynność zakładu nie kończy się jednak na tém. Wszystkie uczennice zostają z zakładem w ciągłym stosunku, jest to jakoby stowarzyszenie wzajemnéj pomocy. — Uczennice składają na wsparcie dla swoich następczyń ciągle małe datki; — komitet zaś bierze w opiekę całe ich życie, udziela im rady, pomocy i protekcyi. Kiedyż to pomyśli kto u nas o podobnéj opiece dla służących, szwaczek itd.?...

Widząc, jak społeczeństwo broni swych moralnych skarbów przed zdruzgotaniem w maszynowych kołach, zapomocą podobnych zakładów jak wyżéj opisane, nic dziwnego, że spotykamy się tu także z szlachetną pieczołowitością, zwróconą ku zwierzętom. Oto d o m e k s t o w a r z y s z e n i a o p i e k i n a d z w i e r z ę t a m i. Napisy na ścianach mówią o co tu idzie: „Między brutalnością względem zwierząt, a okrucieństwem względem ludzi, jest tylko różnica w ofierze“. „Kres litości winien być dopiero tam, gdzie ustaje boleść“. „Wszystko, co kocha, ma prawo być kochaném, wszystko, co cierpi, ma prawo do litości“. W domku wystawione są książki o naturze i u m y ś l e zwierząt, dzienniki poświęcone téj sprawie, illustracje: *ami des animaux*, narzędzia ułatwiające prace zwierząt, ulepszone zaprzęgi, pługi, hamowidła, p r z y r z ą d y d o w y p r o w a d z e n i a b y d l a p o d c z a s o g n i a. Stowarzyszenie to poczęte w r. 1802, ma dzisiaj filje po całym świecie Nie ma wątpliwości, że kucharki nasze, które sprawiają na pół żywe kury, i woźnice batożący głodne szkapy, nie zapiszą się do tego sentymentalnego stowarzyszenia. Dajmy więc pokój z w i e r z ę t o m, a zwróćmy się znowu do ludzi:

Wielkiéj wagi i dowcipu są dwa następujące przyrządy: p r z y r z ą d o z i ę b i a j ą c y. Zdaje się tutaj, jakoby umiejętność wywracała dotychczasowe zasady fizyki; ogień i woda, odwieczni nieprzyjaciele, zawarli ze sobą przymierze. Oto w oczach naszych wyrabia maszyna parowa l ó d, który w kształcie struch warstwami układają. Odbywa się tu taki proces: Zamarznięcie powstaje przez ulatnianie się amoniaku, który przechodząc z stanu płynnego w lotny, wymaga niesłychanie dużo ciepła i odbiera je otaczającym go ciałom. Otóż tuba z amoniakiem zanurzona jest w kadzi wody, która przez utratę ciepła zamienia się w lód.

Telegraf atmosferyczny jest to przyrząd, w którym zwykłe powietrze zamknięte w rurce i zgęszczone ciśnieniem wody, użyte jest do transportu paczek i listów z szaloną prędkością. Za otwarciem wentylu powietrze wydobywając się, porywa wszystko, co na drodze spotyka. Przyrządy podobne, obliczone oczywiście na małe odległości, zaprowadzono już na pocztach miejskich w Londynie.

Zanim pójdziemy dalej, możemy jeszcze po drodze uraczyć uszy koncertem dzwonów. W drewnianej dzwonnicy bez ścian wisi 43 dzwony, tworzące 4 oktawy. Ogromny walec, jakby z 6 dużych beczek, porusza, obracając się za pomocą przyrządu zegarowego, serca dzwonów, które tym sposobem wygrywają ogromnie głośno co godzina marsze, chóry z oper itd. Zdaleka jest to przepyszna muzyka. Dzwonnica ta przeznaczoną jest do kościoła w Buffalo w Ameryce.

(Ciąg dal. n.)

TEATR. W ostatnich dwóch tygodniach scena nasza wyglądała bardzo świątecznie i uroczyście. — „Fiesko", „Kupiec Wenecki", „Don Karlos", „Hamlet", same arcydzieła, następowały tuż po sobie. Podziwiać tu i uznać trzeba przedewszystkiem pracę artystów; podobne wysilenia bajecznemi wydawać się mogą europejskim teatrom, które parę miesięcy przygotowań, prób potrzebują do przedstawienia każdego z tych utworów, i przedstawienie to nie kończy się potém na dwóch razach jak u nas. Szczupła nasza publiczność teatralna wymaga koniecznie téj ciągłéj rozmaitości i nowości. Jest to złe — konieczne. Nie tracą na tém główniejsze role, ale traci całość sztuki, którą psują fałszywe tony dość często odzywające się w drugorzędnych rolach. Zaradzić temu złemu można jedynie przez urządzenie prelekcyj dla początkujących artystów, choćby zastosowanych tylko do chwilowéj potrzeby, do téj lub owéj sztuki, aby aktor mógł choć jakie takie mieć wyobrażenie o osobie, którą przedstawia i o epoce, w któréj rzecz się dzieje. Jeżeli niepodobieństwem jest u nas złożenie jakiéj takiéj szkoły dramatycznéj (co przy zajęciu się miasta byłoby jednak możebném), to potrzeba przynajmniéj brak jéj zastąpić okolicznościowemi wykładami i instrukcjami. Uwagi reżysera podczas próby nie wystarczą. Młodzi ludzie, wstępujący do teatru, jeżeli im idzie o postęp, jeżeli z prawdziwego zamiłowania obrali sobie zawód sceniczny — samiby o to dopominać się powinni. Nie byłoby wtedy owych rażących odległości między rolami pierwszo- i drugo-rzędnemi. Uwaga ta nasunęła się nam właśnie z okazyi przedstawień powyżéj wymienionych dramatów. — Zbyt one są znane, byśmy o nich rozpisywać się mieli. — Przechodzimy więc wprost do ocenienia gry artystów.

Zaczynamy „Fieskiem". Pan Benda miał tytułową rolę. Tam, gdzie trzeba było przedstawić Fieskę jako człowieka giętkiego, dworskiego, maskującego miłostkami z Julią Imperiali swoje zamiary, pan B. grał z wielkim wdziękiem — sceny z Julią w akcie I. i później w pałacu księcia należały do najpiękniejszych w jego grze; w innych jednak scenach brak było jego ruchom i głosowi téj nieugiętéj siły wewnętrznéj, jaka powinna cechować człowieka, który nosząc się z ambitnemi zamiarami, nie powierza ich nikomu, nawet żonie, sam trzyma nitki wszystkich działań i sam sobie wystarcza. Fiesko przypominać powinien po trochu Dantona z czasów konwentu. Nawet w scenach uczuciowych nie może być rzewnym, a tém mniéj płaczliwym — a dumne słowa jego nie wymagają wcale grobowego głosu, jakim się p. B. często w dramatach posługuje. Krócéj powiemy — Fiesko powinien być takim, jakim był p. Benda w owym pięknym monologu przy końcu aktu III. Scena ta słusznie mu zjednała oklaski.

Pani Hofman (Julia Imperiali) i pani Modrzejowska (żona Fieska) grą uwydatniły plastycznie sprzeczności charakterów, które przedstawiały. Żona Fieska, to miłość sama; — Julia miłostka-namiętność; pierwsza w zaciszu domowém czeka męża z otwartemi rękami; — druga kobieta światowa i próżna, pragnie hołdu. Starcie się tych dwóch kontrastów w akcie II., należało do efektowniejszych miejsc w grze artystek; rola jednak Imperiali dawała więcéj pola do popisu.

W dzikich i namiętnych ruchach Gianettina (p. Ładnowski syn), dobrze tłomaczył się despota. — Pan Wolski w roli Verinny miał kilka miejsc wcale szczęśliwych. — Mniéj właściwém może było powierzenie roli Berty pannie Bauman. Pomimo rokującego talentu, za młodą jeszcze jest panna B. do oddania takiéj rozpaczy, w jaką skalanie rzuca dziewicę. — Bezczelnego, cynicznego murzyna z duszą równie brudną jak twarz, grał p. Rapacki z taką prawdą, że osoby, które miały sposobność widzieć podobne typy, z trudnością przekonywać przychodziło, iż pan Rapacki nigdy murzynów takich nie widział. Ogromna intuicja zastąpiła tu studja natury. Zawsze jednak rola Muley-hassana nie należy do tych, w których talent p. R. występuje w całéj pełni. — Za to w „Kupcu Weneckim" znajduje on szerokie pole dla siebie. — Żyd Shylock stoi tutaj na pierwszym planie — on tylko jeden; wszystkie inne postacie nawet piękną Portią postawił poeta daleko po za nim — tak, że postać żyda zdaje się plastycznie odstawać od tła, staje się posągiem, za którym widać figury malowane, lubo malowane cudnemi, żywemi farbami. — Hejne pisząc o „Kupcu Weneckim" robi słuszną uwagę, że Shakespeare chciał napisać coś dla uciechy gminu, rzucić na pastwę ich śmiechu powszechnie wzgardzoną postać żyda; ale geniusz jego nie pozwolił na to i mimo jego chęci postać żyda urosła, zolbrzymiała. Za tém przypuszczeniem Hejnego mówią bardzo wyraźnie słowa przyjaciela Bassania w akcie IV., który z tragicznéj boleści żyda urąga w sposób płaski i niesmaczny, mówi ów przymusowy chrzest żyda; tu już widoczna była chęć autora zadowolenia galeryi, która i dziś jeszcze niestety śmieje się z biednego Shylocka. Tak jest, „biednym Shylockiem" nazywa go Hejne, bo kto tu winniejszy? Czy nie Jessika, która jak dzisiejsza Sara lwowska, zabrawszy ojcu kosztowności, porzuca go? Czyż nie Antonio, który bez powodu plwa na żyda? Shylock bierze lichwę, bo jest żydem, nienawidzi tych, którzy go nie cierpią, bo jakże może przebaczać tam, gdzie chrześcianie miłować nie umieją. Oburzenie, jakie w nim rozbudza pogarda i postępowanie chrześcian, jest bodźcem do tego złośliwego żartu z owym funtem mięsa, bo podobny warunek w chwili, gdy Antonio był jeszcze najbogatszym kupcem w Wenecyi, mógł być tylko złośliwym żartem. Później dopiero żyd podrażniony ucieczką córki, utratą skarbów, które zabrała, poczyna się rozwścieklać, zapalać do ziszczenia swojéj mściwości na chrześcianinie. To też nieszczęście jego nie śmiech, ale litość budzić winno. Tak też pojął i tak przedstawił nam p. R. Shylocka. W postawie, ruchach i twarzy nie było nic takiego, coby jak napis na szyldzie mówiło uprzednio o złych instynktach żyda, owszem był to piękny typ patryjarchalnego choć może nieco ponurego żyda; dopiero w stosunku do ludzi, z którymi się schodzi, występują namiętności jak plamy i cieniują pojedyncze rysy jego charakteru. Z Bassaniem jest obojętny, z Antoniem chytry i rozdrażniony; ze służącym swoim Lancelotem Gobbo pogardliwym, ze sługą sądowym dumnym, z córką po patrjarchalnemu czuły, z Tubalem serdeczny. Scena z Tubalem od którego dowiaduje się równocześnie o nieszczęściu Antonia i o marnotrawstwie swéj córki, należy (powiemy bez przesady) do mistrzowskich;

przejścia od rozpaczy, w któréj więcéj ubolewa nad utratą skarbów niż córki, — do mściwéj radości z nieszczęścia Antonia oddał artysta tak, że nie zostawia najmniejszéj szczelinki, o którąby pióro najsurowszego nawet krytyka zaczepić się mogło. Był to kulminacyjny punkt w grze jego, — którego najbliżéj stoi scena przed sądem w akcie IV. Słyszeliśmy zarzuty, że p. R. niedość gestykulował, niedość po wschodniemu objawiał radość swoją przy słowach: „to Daniel". Zarzut całkiem niesłuszny — Szylock do ostatka nie wierzy, że mu pozwolą spełnić wyrok na chrześcianinie, w skutek téj niewiary znać nawet w nim wachanie się, niepewność, nawet wtedy, gdy już ma się zabierać do operacyi. Jemu, który od chrześcian ciągle doznawał niesprawiedliwości, trudno uwierzyć, że otrzyma sprawiedliwość, dlatego nie śmie głośno wybuchnąć z radością swoją i owszem hamuje namiętne jej objawy.

W końcu mamy jeszcze kilka słów powiedzieć o „Don Karlosie", a raczéj o grze artystów, boć śmiesznością byłoby chcieć w pobieżném sprawozdaniu pisać o tém, o czém znakomici krytycy tomy całe pisali. — O grze więc saméj mówić chcemy. — Zaczynamy od ról kobiecych: „Honneur aux dames". Pani Modrzejowska grała księżnę Eboli. Rola ta jest jakby stworzona dla téj artystki, która też umiała uwydatnić wszystkie zasoby swego pięknego a tak różnorodnego talentu. W uroczéj scenie aktu II. była to prawdziwa, rozkoszna, z lśniącemi oczami i z czarownym uśmiechem na ustach Hiszpanka, oczekująca przybycia kochanka. Pani Hoffman miała mniejsze pole do popisu w roli królowéj Elżbiety, z niemniejszém jednak zrozumieniem przedstawiła charakter nieszczęśliwéj królowéj, miotanéj walką wewnętrzną namiętności z powinnością. Niektóre zaś sceny, jak np. scena z królem (akt IV.), odegrała wybornie. Pan Rapaoki wystąpił w roli króla Filipa. Pan Rapacki przedstawił w téj roli postać groźnego tyrana a słabego i małego człowieka, że nie krytykować, ale podziwiać musimy. Nawet zewnętrznéj strony nie pominął lekko i czyniąc twarz swoją podobną do historycznego portretu Filipa, dał świadectwo, z jaką niezmordowaną chęcią i pilnością pracuje nad każdym szczegółkiem — jak wszechstronnie studjuje charakter. Pan Ładnowski mł. był Don Karlosem. Miło nam jest powiedzieć słowo uznania młodemu artyście, którego wrodzony talent użyzniany ciągłą pracą, pozwolił mu sięgnąć po laury zasłużenie zebrane w roli Karlosa. Głębokie przejęcie się rolą, piękna i zawsze odpowiednia deklamacja, a wreszcie w wielu ustępach właściwa mimika — oto zalety gry p. Ładnowskiego w roli infanta. P. Bendzie w roli Pozy zarzucilibyśmy tylko, że nie był zawsze jednym i tym samym Pozą, że nieraz głos nie dopisywał sile słów i nie odpowiadał im, ale mimo to całość gry była sympatyczną i wdzięczną, a w wielkiéj scenie z królem, w scenie, w któréj przez jego usta uciśnione przemawiają ludy, grał p. B. z wielkiém przejęciem i prawdą. W ogóle przedstawienie wypadło świetnie i gładko.

— O „Hamlecie" sprawozdanie zachowujemy sobie do następnego numeru.

M.

— W grudniu, a następnie w poście odbywać się będą ***odczyty publiczne w Krakowie i we Lwowie***. Sprawozdania, jak również niektóre odczyty w całości będziemy umieszczać w piśmie naszem. Załączamy program odczytów najbliższych, które się odbywać będą w sali Tow. Naukowego na rzecz Towarzystwa wzajemnéj pomocy akademików.

Profesor Dr. Józef Majer, z Antropologii: „Zmysły człowieka pod względem ich wzajemnego do siebie stosunku. W poniedziałek dnia 2 grudnia.

Profesor Dr. Julian Dunajewski, z ekonomii politycznéj: „Znaczenie kapitału w gospodarstwie narodowém". We środę dnia 4 grudnia.

Docent Dr. Lucjan Rydel: „O budowie oka i widzeniu". W piątek dnia 6 grudnia.

Wincenty Pol: „Poemat bohaterski", wierszem, powiedziany z pamięci. W poniedziałek dnia 9 grudnia.

Dr. Józef Oetinger: „O błędach pospólnych". We środę dnia 11 grudnia.

Karol Langie: „O dobroczynności". W piątek d. 13 grudnia.

Profesor Dr. Józef Lepkowski, z Archeologii: „O badaniach grobów pogańskich". W poniedziałek d. 16 grudnia.

Początek każdego odczytu o godzinie 7.

Cena miejsc: Krzesło I. rzędu 1 złr. — a na wszystkie odczyty 4 złr. — Krzesło II. rzędu 75 cent. — a na wszystkie odczyty 3 złr. Wstęp na salę 40 centów.

— Stowarzyszenie „**MUZA**", które wybrało dyrektorem swoim technicznym p. ***Guniewicza***, a prezesem p. ***Lechowskiego***, dało zaraz po urządzeniu się swojém znak życia, t. j. **pierwszy koncert**. Niema wątpliwości, że „Muza" pozyska sympatją miasta naszego, że zwłaszcza Panie nasze współudziałem swoim przyczynią się do podniesienia instytucyi téj, która powstała na gruzach Liedertaflu. Spodziewamy się, że „Muza" przygotuje nam na post szereg wieczorów muzykalno-dramatycznych, na wzór tych, jakie urządza we Lwowie towarzystwo muzyczne.

— ***Teatr amatorski*** na rzecz **czytelni akademickiéj** odbył się z wielkiem zadowoleniem obu stron; bo i kasa była pełną i publiczność przyjemnie się zabawiła zarówno dobrą grą jak i komedyjkami.

— W pierwszych dniach grudnia odbędzie się w **sali redutowéj** ***„Loterja fantowa"***, na korzyść **Tow. akademickiego wzajemnéj pomocy**. — Następujące Panie uproszone zostały do zbierania fantów: Benzemerowa, Gustawowa Baruchowa, Fierichowa, Fuchsowa z córką, Ludwikowa Helclowa, Husarzewska, Marja Jabłonowska, Kirchmayerowa z córką, Kremerowa z córką, Machalska, PP. Moszyńskie, Possinger Choborska, Witoldowa Potocka, Sawiczewska z Grottgierów, Skrzynecka z córkami, Stępińska, Szlachtowska, Zakaszewska z córką

MODY.

Przesyłamy Sz. Czytelniczkom najnowszych opisy płaszczyków i paltotów, na tegoroczną zimę ustalonych. Nigdy nie były one tak różnorakiego kroju i sposobu ubrania, jak w teraźniejszéj modzie. Krawcowe i modniarki wysilają się w wymysłach nieustannie, byle się tylko zasoby gustu nie wyczerpały.

Najbardziéj noszone są ***płaszczyki***, które jednak mało mają podobieństwa do dawniejszych płaszczów.

Tuniki, półdługie paletoty i Casaki, zastępują tak zwane płaszcze. Jedynie paletoty z szerokiemi rękawami, peleryną lub kapturkiem możnaby jeszcze nazwać płaszczami.

Krótkie ubrania z szerokiego tartanu, zielonego lub bławatnego sukienka, albo też z Sarszu, są obecnie bardzo dogodne. Ubiory z tych materyj są bardzo ciepłe i miłe na wyjście codzienne.

Krótkie paletociki pozostają do wyjścia rannego, oraz dla panienek.

Paletoty „Polonaise" na boku spinane, są najmodniejszem ubraniem. Zrobione ze sukna lub kortu, stanowią bardzo gustowne ubranie, z aksamitu obłożone ogonkami piżmowcowemi lub tumakowemi z paskiem lub bez tegoż, należą do największego stroju.

Jako ***nowość*** ukazały się w jednym z najpierwszych magazynów paryskich ubrania, tj.: paletoty, rękawki i toczki robione z wydry, wyglądają ślicznie.

Jako ***strój ranny*** (domowy) polecamy suknie tureckie kaszmirowe o żywych barwach, ubierane haftem bretońskim, oraz kaftanik „Cleopatra“ z sukna lub aksamitu.

Widzieliśmy najnowsze suknie i upewniamy Sz. Czytelniczki, że takowe ze swéj długości i szerokości nic nie straciły. Również szale francuzkie i indyjskie ciągle w modzie pozostają, lecz sposób składania tychże w „Peplumy“, został zupełnie zarzucony. Tylko szale angielskie tartanowe takim sposobem składają.

Nainowsze szale kaszmirowe są na białém tle, w łańcuchy lub medaliony kolorowe.

Czas też już przejść do ***ubrań dziennych***. Chłopaczki do lat czterech noszą sukienki fałdziste z katanеczką szkocką; w późniejszym wieku aż do dziesięciu lub dwónastu najstósowniejsze są majtki szerokie, krótkie z takąż samą katanką i kamizelką. Kapelusze pilśniowe pozostają na ten rok niezmienione dla dzieci starszych, dla małych są nizkie Toczki z kokardą i piórkiem na boku. —

Co do ubrań na głowę jest to nowością, że złoto widać wszędzie we włosach pomiędzy kwiatami i na kapeluszach. Do najnowszych ubrań głowy należy niewątpliwie „bratek“, w połowie ze złota nie bardzo szklącego, w połowie z czarnego lub kolorowego aksamitu na liściach złotem żyłkowanych lub nakrapianych, podług gustu we włosy lub na kapeluszu upięty. Także używają pączków róż bez liści, nie różniących się od świeżych; lub liści szklących koloru rubinów i szmaragdów, narzucanych złotem, co przy oświetleniu ślicznie się wydaje. Przy kapeluszach widzimy ogólnie diademy nad czołem z liści aksamitnych ze złotemi wisiorkami na czoło spadającemi.

Opis podwójnego arkusza krojów wraz z ryciną.

TABELA I.

Fig. 1. ***Zarzutka balowa*** osoby pierwszéj na rycinie. — Kształt téj zarzutki jest w rodzaju chustki czworograniatéj, opatrzonéj przy wcięciu na szyję małemi wszytkami, by się lepiéj koło osoby układała. Wyszycie jest na rycinie jakotéż na kroju oznaczone i można je szutaziem lub maszyną do szycia wykonać. Jeżeli zarzutka ma być na bal, ładniéby wyglądała z białéj flanelki z pąsowém, niebieskiém lub złotém wyszyciem.

Fig. 2—8. ***Zimowy Casak*** osoby drugiéj na rycinie. — Zrobiwszy z grubéj wełnianéj materyi lub pluszu, zastępuje płaszcz zimowy. Najładniéj wygląda do sukni o dwóch suto wyszytych spódniczkach.

Casak jest zupełnie obcisły. Fig. 2. są plecki, do których spodnia część Fig. 6. — a do przodu część dolna Fig. 5. się przyszywa. Rękaw wązki Fig. 7. ozdobiony rękawem otwartym Fig. 8., którego brzegi są krepiną lub aksamitem obszyte, tak, jak i dół Casaka.

Fig. 9—11. ***Krój kaftanka dla chłopczyka.*** Krój ten jest zupełnie zastósowany do kaftanka noszonego przez osobę trzecią na rycinie, tylko jest inaczéj ubrany, gdyż na arkuszu krojów jest obszycie, które naśladuje wykład, zpod którego widać kamizelkę, któréj przednie części są do kaftanka przyszyte. Fig. 10. daje dokładne wyobrażenie opisanéj kamizelki.

Wyszycie dołączone przy kroju jest z szutaziu bardzo gustownie zrobione.

Zwracamy uwagę na to, że ten krój można odrazu na tęższego lub szczuplejszego chłopca podług centimetrów krajać, biorąc miarę w kołnierzu.

Fig. 12—14. ***Paletot futrzany*** dla osoby czwartéj na rycinie ***w naturalnéj wielkości.***

Krój tego paletota jest dla osoby mającéj pół szerokości piersi 45 centimetrów, lecz można go użyć na miarę 44 lub 46 centimetrów. Najładniéj wygląda z ciemnego wełnianego pluszu z jasném futrzaném obłożeniem.

Fig. 15—21. Nowe modele kapeluszów i bielizny.

Fig. 15—17. ***Nowe modele kapeluszów*** bardzo eleganckie, z których osoby fachowe wielce użytkować mogą.

Fig. 18—21. ***Najnowsze półkoszulki i rękawki*** ładnie i gustownie przybrane.

TABELA II.

Na odwrotnéj stronie arkusza widzimy krój najnowszego ***żakieta w naturalnéj wielkości.*** Jest on z grubego jasnego kortu zrobiony i podług zarysów Fig. 4 aksamitem w odrębnym kolorze ubrany. Krój tego żakieta pochodzi z jednego z najpierwszych magazynów, zastósowany na osobę średniéj miary od 45 do 48 centimetrów. Przedstawienie jest dokładne i szczegółowe, że bliższych objaśnień nie potrzebuje.

☞ Zaopatrzyliśmy się wcześnie w wszelkie ***kostiumy balowe***, które w obfitym doborze Czytelniczkom podamy. Zwracamy przytém uwagę, że nie rzucamy Czytelniczkom bezładnéj mieszaniny wymysłów, tu i owdzie na ślepo chwytanych — ale mając stosunki z pierwszemi magazynami w Paryżu, Berlinie i Wiedniu, podajemy zawsze ***wybór*** rzeczy pięknych i praktycznych. Jak dotąd z każdym kwartałem zaprowadzaliśmy nowe ulepszenia w rubryce mód — tak i od nowego roku ciągle wzrastającą starannością na względy Czytelniczek odpowiadać będziemy.

Korespondencja „Kaliny“.

L. M. Zapóźno. — **XX.** Rękopisma można odebrać w biurze naszém w zwykłych godzinach.

K. w **M.** Listy niefrankowane przyjmuje się tylko od znajomych osób.

R. w **L.** Będzie o tém obszerniéj w przyszłym kwartale.

Wydawca Szczepański Alfred Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.